

Rozdział 27.

# **Pełna MOC podróży**

**Jan Paweł Walkiewicz**



## Marzenia

Motywytem przewodnim mojej wycieczki, która z biegiem czasu przerodziła się w wielką podróż, było odpowiedzenie na pozornie proste pytanie: „Kim jestem, czego pragnę?”. Otoczony w Polsce tymi samymi ludźmi, zadaniami, dosyć monotonną rzeczywistością przerywaną od czasu do czasu wyskoczeniem na piwo czy innym „zabijaczem” czasu, nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Tata zawsze powtarzał, iż okres między dwudziestką a trzydziestką to czas poznawania siebie, doświadczania życia, a najkrócej ujmując – dostawania w dupę. Zgadzałem się z nim, że aby chłopiec stał się mężczyzną, musi zdobyć życiowe doświadczenie, opanować sztukę przetrwania, zrozumieć czego naprawdę chce od życia i co sam życiu może dać. **„Musisz odpowiedzieć sobie na zajebiście, ale to zajebiście ważne pytanie, co chcesz w życiu robić, a potem zacząć to robić”** brzmi słynny cytat z filmu „Chłopaki nie płaczą”.

Jeżeli ktoś przez lata nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, to nie powinien się łudzić, że kolejne miesiące w tym samym miejscu i w tym samym gronie znajomych przyniosą coś nowego. Chęć pozostania z bliskimi jest ucieczką od poszukiwania odpowiedzi na osobiste pytania o sens swojego życia. To po prostu wybranie łatwiejszej, dobrze ubitej, znajomej drogi, która niestety bez konkretnego celu sprawia, iż chodzimy dookoła, powiększając tylko dół, w którym ugrzęźliśmy. Coraz słabiej widząc otaczający nas świat, utwierdzamy się w przekonaniu, iż wybrana przez nas ścieżka jest właściwym kierunkiem działania, a to co znamy jest dobre, bo jest dobre i znane. Im dłużej chodzimy w kółko, tym trudniej jest nam z tego zakłętą kręgu wyjść. W takim momencie **bardzo cenna jest pomoc innych**. Tych, którzy pomogą nam kopać dół są miliony. To szara masa konsumentów życia. Musimy mieć ratownika, kogoś, kto pomoże się wydostać z dołka. Dlatego tak bardzo dziękowałem i ciągle dziękuję mojemu Tacie, który zamiast podania mi łopaty i pozwolenia, abym kopał swój kanał donikąd, podał mi drabinę, abym mógł wydostać się i spojrzeć na swój świat z góry. Abym na nowo ocenił swoją sytuację i podjął decyzję, dokąd chcę iść. Oczywiście **bez mojej decyzji nic by się samo nie zrobiło**. To ode mnie zależało, jak bardzo pragnę zmian. Zawsze

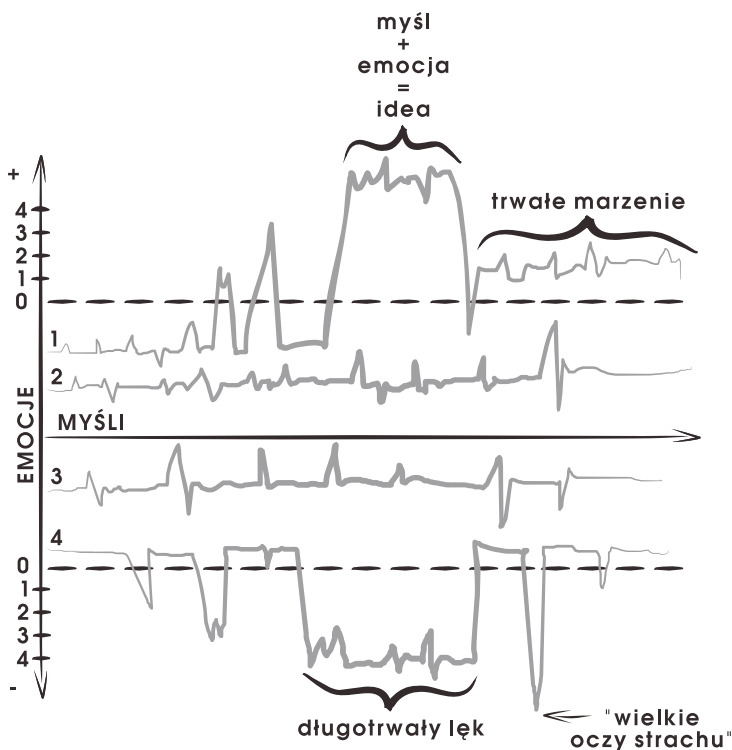
pierwszym krokiem jest podjęcie decyzji. Oczy otwierają się na nowe życie pod wpływem osobistej determinacji i pomocy innych...

Będąc w Panamie, nie ukrywam, byłem bardzo zadowolony z tego, że ciężką pracę wydostawania się z monotonii życia miałem już za sobą. Cztery miesiące w Ameryce Środkowej i biegle znajomość hiszpańskiego po kursach w Gwatemali dawała mi poczucie, iż nie ma rzeczy niemożliwych. „Teraz, kiedy jestem już na „dachach świata“, mam spojrzenie na życie z innej perspektywy, zostaje mi jedynie wybranie drogi do osiągnięcia swoich celów – myślałem. Dziecięce marzenie o przepłynięciu najbardziej znanego kanału na świecie właśnie się realizują, do tego za chwilę będę płynął na wyspy Galapagos – krainę tak odległą, iż nigdy nie myślałem, że się tam kiedykolwiek znajdę (a co dopiero mówić, że tam popłynę :)). Jeszcze parę lat temu, siedząc w Internecie przeglądałem darmową encyklopedię Wikipedia. Szukałem informacji i ciekawostek o Wyspach Pacyfiku. To, co najdalej, najmniejsze, najbardziej dzikie, było dla mnie najciekawsze. Odkrywałem nowe wyspy, nowe kraje, poszerzałem wiedzę o terenach tak odległych, iż przeciętny Polak nawet nie traciłby czasu na studiowanie tych zbędnych do życia informacji. Było w tym jednak coś egzotycznego, coś, co przyciągało mnie jak magnes. Wyspa Bora-Bora, Galapagos, Wyspy Cooka (bo kim do cholery był Cook?) pobudzały moją wyobraźnię, marzyłem, że kiedyś je odwiedzę. Stałem kiedyś tam na końcu świata. Ze swoją dziecięcą fantazją bujałem w obłokach, dodatkowo wyobrażając sobie dobrze płatną pracę, która pozwoli mi na realizowanie tych zamorskich podróży. Rodzina była po mojej stronie, zdystansowana, ale na moje fantazyjne pomysły nie mówiła nie. Kiedy zapytano mnie jako kilkunastolatka dokąd chciałbym pojechać, odpowiadałem szybko: Nowa Zelandia! Sam wtedy nie wiedziałem dokładnie gdzie ten kraj się znajduje. Rodzina była jednak za, nikt nie krytykował moich marzeń, nie było uwag w stylu: „A po co ci to, a dlaczego tak daleko?“. Czułem akceptację, pocziwe przytakiwanie starszaków na fantazje dziecka, być może górnolotne, ale możliwe do spełnienia (z perspektywy czasu myślę, że niewielu jednak wierzyło, że się tam dostanę). Siedziałem w pokoju planując lotniczą wyprawę. To chyba jedyna rzecz, do której przydawała mi się nowa drukarka, gdybym policzył wszystkie naprawdę potrzebne,



wydrukowane dokumenty, byłoby ich zapewne bardzo niewiele.

Kiedy dotarłem do Panamy, miałem dwa wyjścia: wrócić szybko do Kostaryki, złapać samolot do Hiszpanii i rozpocząć życie „pracującego emigranta” w Europie lub załapać się na łódkę i popłynąć w podróż po Pacyfiku. Czas i pieniądze nie były moim sprzymierzeńcem. Na przeprawę łódką trzeba było poczekać, a i tak nie miałem pewności, czy się załapię. Kapitan cały czas szukał bardziej doświadczonych żeglarzy, a ja mogłem tylko wierzyć swojemu



Myśli płyną przez całą dobę. Wiele z nich to „szum informacyjny”. Nie mają dla nas znaczenia. Nie mają związku z nami i naszymi i życiowymi celami. Towarzyszy im niewielki ładunek emocjonalny. Ale są też takie, które wiążą się z silnymi emocjami pozytywnymi. Tak powstają idee. Jeśli emocje utrzymają się dłużej, idee przekształcają się w długotrwałe marzenia. Czasami emocje mają znak ujemny i wtedy doświadczamy koszmarnych myśli. Niektóre trwają miesiącami zamieniając się w długotrwały lęk, a inne to chwilowe „wielkie oczy strachu”. Na trwałe w pamięci zostają nam tylko te myśli, którym towarzyszyły silne emocje.

Rys. EEG umysłu

przeznaczeniu. Odłot samolotu zbliżał się bardzo szybko i każdy dzień pobytu w Panamie robił mnie coraz bardziej zestresowanym. Balansując na huśtawce pomiędzy dwoma opcjami, musiałem w końcu podjąć decyzję: powrót do Europy czy dalsze czekanie na zrealizowanie swojego marzenia? Postanowiłem zaryzykować – będę czekał. W końcu, po stresującym tygodniu, odebrałem telefon. Jadę. Katamaran jest gotowy. Jeszcze tylko sprzedałem Tacie komputer pozostawiony w Polsce, poprosiłem o wcześniejsze przelanie imienninowych pieniędzy na konto i w drogę. Mam 22 lata, jestem uśmiechnięty od ucha do ucha, na dziobie katamaranu opuszczam Amerykę. Przede mną tylko raj. Dziewicze Wyspy Pacyfiku stają się czymś realnym. Pomyślałem sobie: „**ŻYCIE JEST PIĘKNE**”. Czy może teraz przydarzyć się coś przykrego?

Weryfikowanie swoich marzeń to jedno z cennych doświadczeń, których żadna nauka, książka czy wykład nie pozwolą zdobyć. Od wczesnych lat dzieciństwa, kiedy ten piękny kolorowy płomyk okazał się niebezpiecznym ogniem, aż do lat dorosłych, gdy okazuje się, że samochód z komisu nie działa, człowiek uczy się, że **to czego oczekuje i co sobie wyobraża, nie musi być tym, co dostanie**. Jestem z założenia pozytywnie nastawiony do świata. Zakładam dobry koniec każdej historii i mocno ufam temu, w co wierzę. Czy może być coś, co sprawi iż podróż życia stanie się koszmarem, a chęć nauki żeglarstwa sprowadzi się do pobytu w kajucie i brania leków? No cóż, odpowiedź przyszła bardzo szybko, zaraz po wypłynięciu z portu: choroba morska.

Przez trzy tygodnie stacjonowania w Panamie i czekaniu na przepłynięcie kanału, mój pobyt na katamaranie był bardzo „lajtowy”. Nie odczuwałem żadnej różnicy pomiędzy byciem na lądzie a życiem na łódce. Z dawnych lat pamiętam również brak jakichkolwiek symptomów choroby morskiej. Jedynym problemem była jazda samochodem, ale wynikało to bardziej z duszności i zapachu tapicerki niż samych ruchów samochodu. Czekając w porcie otoczonym przez falochrony, nie mogłem przewidzieć jak poczuję się na oceanie. Zaraz po wypłynięciu z portu i obraniu kursu na Galapagos zaczęłem odczuwać dziwne bóle brzucha oraz zawroty głowy. Te ostatnie

prowadziły do wymiotów. Zakładając, że jest to tylko chwilowa sytuacja, przesiedziałem swoją wachtę w kokpicie i po ciężkich godzinach wypatrywania statków na kolizyjnym kursie, skierowałem się do kabiny na upragniony odpoczynek. Będąc na zewnątrz, na świeżym powietrzu z morską bryzą, łatwiej było mi znieść chorobę niż w szczelnie zamkniętej koi. Po zejściu na dół i położeniu się na łóżku, oddychałem jak szybko potrafiłem. Dotlenić się – to jedyna myśl jaką miałem. Odruchy wymiotne nie opuszczały mnie. W głowie miałem tylko jedno: „wytrzymasz, wytrzymasz, dasz radę”. Mój organizm miał jednak inne zdanie, a nie mogąc powstrzymać sił natury, skierowałem się szybko do toalety i tam opróżniłem całkowicie żołądek. Po spędzeniu dobrych dwudziestu minut w toalecie, powróciłem do łóżka z założeniem szybkiego zaśnięcia i przespania kolejnych ośmiu godzin. Nic takiego jednak się nie wydarzyło. Przez kolejne chwile czułem, że staczam prawdziwą bitwę, z której mogłem wyjść zwycięsko lub polec. Byłem pewien, że jest to najgorszy moment w moim życiu. Tak banalny, a zarazem koszmarny problem, którego nie mogłem rozwiązać. Musiałem po prostu przez to przejść. Żadne leki, zatyczki, opaski uciskowe nie potrafiły mi pomóc. Moja wizja nauki żeglarstwa, słuchania kursów francuskiego na CD i czytania książek legła w gruzach. Przez kolejne siedem dni przeprawy z Panamy do Galapagos, a później trzech tygodni do archipelagu Markizów, moje życie sprowadziło się do wykonywania ośmiu godzin wacht i szesnastu godzin snu, bo tylko śpiąc mogłem powstrzymać konwulsje. Jest to doświadczenie, którego nikomu nie życzę. Potworna sytuacja, w której nie da się zrobić nic poza dotarciem do stałego lądu. To jedno z tych wydarzeń, które po prostu musiałem przeżyć, była to cena jaką musiałem zapłacić za rejs mojego życia. Tu nie było planu B, tu była tylko wytrwałość i gotowość do doświadczania życia (jak to mówi mój Tata) na „cały etat”. W każdym momencie mogłem opuścić łódkę i wrócić do Europy. Za każdym razem, dopływając do stałego lądu, wyklinałem żeglowanie. Był to najgorszy rodzaj transportu, jaki wybrałem. Tym, którzy choroby morskiej nie doświadczyli trudno wyobrazić sobie rozmiar mojej frustracji, gdy opuszczałem port kierując się na pełne morze. To tak, jakby być na kacu, będąc trzeźwym, a stan ten nie trwa dwie godziny, ale całe długie dni i noce. W takich sytuacjach trzeba znaleźć coś, co trzyma nas na duchu, coś, co motywuje. Co da siłę pokonującą lęki, choroby,

frustracje. Ja miałem marzenie, chciałem zobaczyć Pacyfik. Te wszystkie bezludne opuszczone wyspy, miejsca, do których tylko nieliczni mogą dotrzeć. Pokonałem swoją słabość, przepłynąłem ciężkie

osiem tysięcy mil morskich, w ciągu siedmiu miesięcy odwiedziłem kilkanaście dziewiczych wysp. Ale moje marzenie trwa. Zostało jeszcze tyle wspaniałych miejsc, których nie zdążyłem odwiedzić. Kiedyś tam wrócę na swoim jachcie. Ale dzisiaj już wiem, ile to marzenie będzie mnie kosztowało.

***Pomocną dłoń znajdziesz zawsze na końcu ręki. Ufaj sobie. Swojej wiedzy, doświadczeniu i intuicji. Tylko ufając sobie, będziesz mógł zaufać innym.***

— inspiracja —

**To, co dzieli nas od naszych marzeń, to cena jaką jesteśmy gotowi zapłacić za ich realizację. Im bardziej czegoś pragniemy, tym łatwiej jest nam osiągnąć postawiony cel.**

## Lekcje

Kolejne lekcje przychodziły wraz z kolejnymi doświadczeniami. Bora Bora zamiast rajy stała się więzieniem, którego termin opuszczenia zależał od samej matki natury. Wymarzone miejsce na wakacje okazało się nudną wyspą, na której codzienne zajęcia sprowadzają się do sączenia drinków. A to, co może i ciekawe, dzieje się na zamkniętych plażach dla milionerów. Lokalna ludność jest biedna i sceptycznie nastawiona do turystów. Okrada żeglarzy dla zabawy, łupy wyrzucając do wody. A pośród tego znalazłem się – ja, splukany podróżnik. Na każdym kroku muszę oszczędzać. Dla hotelu jestem zbyt biedny, a dla tubylców zbyt bogaty – przez to obcy. Silny wiatr uniemożliwia odpływ do kolejnych wysp, termin lepszej pogody nikomu nie jest znany. Dostępu do Internetu nie ma, gier nie ma, życie nocne co najwyżej raz na tydzień, w piątek. Piwo drogie, nurkowanie jeszcze droższe. Wspaniała Bora Bora stała się nagle boring boring (nudna nudna). **Czas jest najcenniejszą rzeczą, jaką ma podróżnik.** Ludzie nie podróżują, bo nie mają czasu. Ile razy słyszałem od ludzi: „Nie mamy tyle

urlopu, aby pojechać na koniec świata”. A ja miałem czasu pod dostatkiem, a mimo to czułem, że każda wyprawa – nawet najlepiej zorganizowana – może wymagać korekty. Mając przed sobą nieokreśloną liczbę dni, którą muszę spędzić na tej wyspie, uruchomiłem swoją wyobraźnię. I tu kolejna cenna lekcja: pieniądze nie są potrzebne do ciekawego spędzania czasu. Zorganizowaliśmy wspólnie ze znajomymi *snorkling* na pobliskiej rafie, w krystalicznie czystej wodzie mogliśmy popływać z rekinami, wybraliśmy się na wycieczkę w góry, aby z sześciuset metrów podziwiać wspaniałą panoramę atolu. Nawet męcząca wyprawa rowerem dookoła wyspy okazała się bardzo ciekawa. Wszystkie te i wiele innych zajęć zrealizowaliśmy całkowicie za darmo. Wyspa sama w sobie nadal była nudna, ale **to my czynimy nasze życie ciekawszym**. Żeglarska podróż z Panamy po przepłynięciu przez Galapagos, Polinezję Francuską, Wyspy Cooka, Niue oraz Tonga zakończyła się w Nowej Zelandii. I tu kolejna niespodzianka. Ponieważ polski rząd nie podpisał ustaw wykonawczych z rządem Nowej Zelandii, moje plany na dwuletni legalny pobyt musiały ulec zmianie. Korzystając z pomocy znajomych, pracując na czarno w hotelu, legalnie zakładając siatki na winogrona, zbierając cebulę i wyrabiając godziny w fabryce konserw, spędziłem wspaniałe pół roku na Północnej i Południowej wyspie. Moja wiza turystyczna pozwalała na ograniczone do minimum zarabianie pieniędzy, więc w stosunku do wszystkich innych nacji, które mogły robić co chciały, poczułem się jak obywatel świata, ale drugiej kategorii. Wszystko było dramatycznie czymś innym, niż się spodziewałem spotkać w Nowej Zelandii. Postanowiłem jednak potraktować to jako nowe doświadczenie. W każdej rzeczy, którą wykonujemy, możemy dopatrzeć się plusów. Szukanie pozytywów trzyma nas przy realizowaniu swoich zadań. I tak też zrobiłem. Trzeba być wytrwałym, szukać, kombinować, dzwonić, dopytywać. Nauczyłem się, że **samo nic się nie robi. Do realizacji czegokolwiek potrzebny jest pierwszy krok**. Zapewne jeszcze nieraz coś mnie w życiu zaskoczy – myślałem. A poza tym to, czego na co dzień doświadczam, to chyba właśnie element tego, co Tata nazywa dostawaniem w dupę. Przyszłości nie da się przewidzieć, więc nauczyłem się kolejnej cennej życiowej umiejętności: warto mieć awaryjny plan „B”. Ale tak naprawdę, warto jeszcze mieć opcje „C”, „D”, „E” i „F”. Im więcej mamy możliwości, tym łatwiej rozwiązywać problemy. Krótko mówiąc:

**„szukajcie, a znajdziecie”.**

**I jeszcze jedno: ta wyprawa nie dała mi odwagi, ale dostarczyła sytuacji, w których mogłem jej doświadczyć.**

## **Ludzie**

Podczas mojej podróży spotkałem mnóstwo osób, które miały mniejszy lub większy wpływ na moje życie. Nauczyłem się bardzo wiele, zarówno na ich sukcesach, jak i na ich błędach. Spotkane osoby przekazały mi cenną wiedzę o podróżowaniu, o życiu, ale również o przyziemnych sprawach, które wypełniają każdy dzień. Nie starczyłoby stron, aby opisać sylwetki ich wszystkich. Ale kilka osób chciałbym przedstawić.

**Juan Carlos z Panamy** – z pozoru normalna znajomość z Hiszpanii zmieniła moje życie o 180 stopni. To dzięki jego spostrzegawczości znalazłem się na wspaniałym katamaranie. Kto wie, czy gdybym nie spotkał Carlosa, w ogóle znalazłbym się na Pacyfiku. Carlos władał biegle dziesięcioma językami, podróżował po świecie, miał własny, dobrze prosperujący hotel. Ale miał też swoją ciemną stronę, swój „cień”. Nauczyłem się dzięki niemu, że: **„popelnienie jednego błędu to rzecz ludzka, ale popelnienie dwa razy tego samego błędu to już głupota”**.

Pewnego dnia Carlos ze swoją znajomą poszli w nocy popływać koło łódki. Po trzydziestu minutach i braku odpowiedzi zaczęliśmy ich szukać. Była noc, ciemno, silny prąd oraz chłodna woda. W takiej sytuacji człowiek nie jest w stanie długo wytrzymać w wodzie. Zaniepokojeni, szukaliśmy go na morzu i okolicznych wyspach. Ostatecznie, zrezygnowani, postanowiliśmy zadzwonić po straż przybrzeżną i poinformować rodzinę o zaginięciu syna. Carlos miał jednak niebywałe szczęście. Rosyjska łódka dopływająca z Galapagos wyciągnęła go z wody trzysta metrów od brzegu. Można było się spodziewać przeprosin czy choćby jakiejś refleksji. Carlos jednak, po wejściu na łódkę powiedział: „Życie toczy się dalej, nie zamierzam płakać nad rozlanym mlekiem i teraz chcę zjeść obiad”. Kapitan usunął go z łódki. W ten sposób stracił możliwość wspaniałej przygody. Potem

były jeszcze inne łódki i różne historie z udziałem Carlosa. To typ ofiary. Zawsze winił tych „innych”.

Siedząc w Nowej Zelandii, dostawałem od niego maile o planach na podróż, którą zamierza odbyć przez Pacyfik. Ale ciągle stał w tym samym miejscu i nie widział popełnionych błędów. A swoją drogą, zawsze będę pamiętał, że to dzięki Carlosowi znalazłem się na wspaniałym, luksusowym katamaranie. Dzięki niemu moje marzenia się zmaterializowały.

**Christof, Ana i Leoni z Austrii i Macedonii** – moje pierwsze doświadczenia żeglarskie zdobyłem pod dowództwem austriackiego kapitana. Towarzyszyła mu w podróży macedońska żona oraz Leoni, trzyletnia córka o diabelskim charakterze. Christof porzucił dobrze płatną pracę w amerykańskiej firmie, aby razem z Aną zrealizować swoje marzenia o podróży dookoła świata. W tej podróży jednak największym wyzwaniem było pogodzenie tego z posiadaniem małej córki. Sam tego doświadczałem na własnej skórze... Na katamaranie Ishani przeszedłem kompletne podstawowe szkolenie. Christof zawsze imponował mi swoją pewnością siebie oraz szybkością działania. Pewność siebie była jego wielką zaletą, jednak od tego blisko jest już do brawury. Pomimo wskazówek na GPS-ie oraz wodnych znaków, Christof postanowił zlekceważyć wszystkie oznakowania i kierować się własnym doświadczeniem. Podczas przepływania przez kanał, skierował katamaran za blisko boi. I zrealizował się najgorszy scenariusz – uderzyliśmy w rafę. Z dziurawym kadłubem musieliśmy skrócić podróż i skierować się na naprawę. Odebrałem cenną lekcję – warto mieć zaufanie do siebie, ale również warto mieć zaufanie do *know-how*, którego autorami są inni ludzie. Ana natomiast potrafiła znaleźć czas na wszystko. Pomędzy wachtami zajmowała się córką, szykowała jedzenie, sprzątała. Mimo zachwycającej podróży dookoła świata, z obserwacji prostego życia tej rodziny mogłem nauczyć się, że niezależnie od tego jak daleko od domu odpłyniemy, zawsze mamy te same przyziemne obowiązki do spełnienia. Największą umiejętnością w podróżowaniu jest pogodzenia zwykłych zajęć z ekscytującą wyprawą. Ponadto: **nie ważne gdzie, ważne z kim!!!**



**Jessica z USA –**

Jessica zapytana skąd pochodzi odpowiadała, że jest „córką Słońca i Ziemi”. To najbardziej otwarta na świat i pozytywnie myśląca osoba, jaką spotkałem w swoim życiu. Cieszyła się każdą chwilą. Potrafiła wszędzie

znaleźć kawałek szczęścia, który malował uśmiech na jej twarzy. Nawet w najtrudniejszych sytuacjach miała głowę podniesioną do góry. Nikt jej nie rozumiał. Nazywano ją Księżycową Dziewczyną. Była outsiderem. Pozytywne myślenie i ten blask jej uśmiechu raził innych ludzi. Potrafiła spędzić noc na drzewie rozmawiając z gwiazdami. Zapytana kiedyś przeze mnie, skąd bierze pieniądze na swoją podróż, odpowiedziała: **„Jeśli się o czymś naprawdę mocno marzy, pragnie tego, to do nas samo przyjdzie, trzeba być tylko wytrwałym”**. Nigdy więcej nie zadałem już tego pytania, wiedziałem, że dostanę tę samą odpowiedź. I właśnie ta filozofia jest mi najbliższa.

***Wczoraj to już historia, a jutro to tajemnica. Dzisiaj jest darem losu a darami należy się cieszyć. Łap chwilę „tu i teraz”. Zrób dzisiaj coś dla siebie.***

— inspiracja —

**Jeff** - jest dla mnie człowiekiem tysiąca historii i jednej idei: „the best plan is no plan”. Jeff realizował swój wielki plan: „Podróżować znikąd do nikąd, bez planu, bez celu, zmierzać gdziekolwiek”. To typ bujającego w obłokach. Po sprzeczkach z kapitanem każdego dnia wieczorem mówił mi, że to już najwyższy czas opuścić łódkę. „Nie zniosę więcej traktowania mnie jak dziecko” – powtarzał. Każdego wieczoru pakował się bardzo starannie opowiadając mi historie o nowej łódce, załodze i lepszym życiu. Każdego dnia rano pytając Jeffa, kiedy opuszcza łódź, słyszałem tę samą odpowiedź: „Jeszcze nie dziś”. Dwa tygodnie przed dopłynięciem do Nowej Zelandii, będąc jeszcze w Królestwie Tonga, otrzymałem od kapitana kanadyjskiej łodzi propozycję wspólnej podróży. Wykorzystałem sytuację bez namysłu. Nigdy nie zapomnę wyrazu twarzy Jeffa, kiedy oświadczyłem mu o swojej decyzji zmiany łódki. Chwycił się za włosy i wymamrotał pod nosem krótkie „FUCK”. Więcej go tego dnia go widziałem. Dzwonił do innych kapitanów, mówił że jest gotów i robił wszystko, aby teraz opuścić



Łódź. Było jednak za późno. Załogi były już skompletowane. Jeff miał dwa miesiące na opuszczenie statku. Sześćdziesiąt razy się pakował, miał sześćdziesiąt okazji do podjęcia decyzji, setki godzin do jej przemyślenia. Ja dostałem jeden dzień i pięć minut. Zrobiłem krok do przodu po szybkiej decyzji. I podjąłem decyzję. Jak mówiła Jessica: „...Trzeba być tylko wytrwałym”.

**Kathi i Sean z USA** – Sean jest informatykiem, jego żona Kathi menagerem. Razem z dwiema córkami prowadzili szczęśliwe, proste życie w słonecznej Kalifornii. Wysokie dochody w międzynarodowych firmach, wielki dom z ogródkiem, dzieci uczęszczające do prywatnej szkoły. Dla większości Amerykanów wzorowa rodzina z przedmieścia. Kathi i Sean mieli jednak marzenie. Chcieli własną łódką przepłynąć Pacyfik. Sprzedali dom, wzięli dwumiesięczne lekcje żeglarskie i wyruszyli na spotkanie z przygodą. Sean zapytany po roku podróży, czy jest zadowolony z podjęcia tak radykalnej decyzji, zawsze odpowiadał: „Kiedy myślę, że miałbym wrócić do tego domu z wielkim ogródkiem i kosić go każdego dnia, zamiast spędzać czas z rodziną na środku oceanu to wiem, że podjąłem najlepszą decyzję w moim życiu”. Oczywiście większość ludzi nie rozumie takiej odpowiedzi. Pewnej nocy na Bora Bora okradziono ich łódkę. Zabrano wszystkie laptopy, aparaty cyfrowe, płyty DVD. Jednak największy smutek wzbudziła utrata płyt ze zdjęciami z całej podróży. Po dwóch dniach ktoś powiedział Kathi, że jest zaskoczony tym, że ona w ogóle nie wygląda na zmartwioną: „Jak to możliwe, że po utracie tylu cennych rzeczy ciągle jesteś zadowolona?”. **„Najcenniejsze w naszej podróży jest to, że jesteśmy razem. Można ukraść nam zdjęcia, można zabrać pamiątki, ale nikt nie zabierze nam tych doświadczeń i chwil, które przeżyliśmy”** odpowiedziała Kathi.

### Skok ze skały

Był styczeń 2008 roku. Jako świeżo upieczony kierowca kategorii B, student II roku psychologii (na urlopie dziekańskim), mając 21 lat z setką pomysłów w głowie, wyjeżdżałem z Polski. Wyruszyłem na koniec świata, bo tam gdzie nie ma McDonalda i gdzie nie można kupić Coca-Coli, nie ma już nic. Po co? To pytanie usłyszałem mnóstwo razy

przed wyjazdem, w trakcie i pewnie nie jeden raz usłyszę po powrocie. Od najbliższych, od przyjaciół, kolegów, znajomych i nieznajomych. Bo mam marzenie. Niektórzy myślą, że do nieba jedzie się dopiero karawanem, ale to nieprawda. Niebo jest na ziemi. Tu i teraz. Chcę iść swoją ścieżką. Te, którymi idą wszyscy, są mocno wyślizgane i można się na nich przewrócić. **Życie jest zbyt długie, aby się nad nim nie zastanawiać, ale zbyt krótkie, aby znaleźć na wszystko odpowiedź.** Czasem łatwiej jest ruszyć w drogę, niż odpowiedzieć na pytanie, czemu ruszamy. Odpowiedź przyjdzie w trakcie wędrówki.

Pewnego dnia na Galapagos poszliśmy na wycieczkę do pobliskiego kanionu. Piękny, trudny do opisania widok. Jeden z tych, które zostawiają w naszej pamięci trwałe ślady. Wysokie na piętnaście metrów skały i chłodna głęboka woda. Po dwudziestominutowej wycieczce w słońcu od razu chciało się popływać. Mimo tego, większość osób siedzących na szczycie zamiast skoczyć, czekała. Kiedy przychodzi dobry moment, aby coś zrobić? Chcąc lepiej ocenić sytuację czasami się cofamy. Zaczynamy się wahać i przekładamy plany na przyszłość. W mojej podróży spotkałem mnóstwo osób uważanych przez większość społeczeństwa za niezdolnych do podróżowania. Samotne kobiety jeżdżące autostopem, rodziny z dziećmi w trzyletniej podróży dookoła świata czy żeglujących sześćdziesięciolatków. Wszystkich ich łączy jedna cecha: nie stali na skale, zaufali sobie i skoczyli.

Wątpliwości czy sobie poradzę, czy starczy mi pieniędzy, jak wrócę do domu miewałem wielokrotnie. Jeszcze będąc w Polsce, bałem się wyjechać. Dziś wiem, że **w 95% przypadków dam sobie radę, a tych pozostałych 5% nie jestem w stanie przewidzieć. Wszystko, co się podczas tych siedemnastu miesięcy wydarzyło – miało się wydarzyć. Każde miejsce, każdy człowiek, każde wydarzenie zmienia nasze życie. Nigdy nie wiemy, co przyniesie nowy dzień, ale na pewno wszechświat sprzyja podróżnikom.**

**Ja czekałem na skok ze skały cztery sekundy, a ile Ty będziesz czekał, aby zrealizować swoje marzenia?**



### **Rozmyślnik**

No właśnie. Ile będziesz czekał? Po prostu zrób to. Teraz!  
Teraz podejmij decyzję! I zrób to !

A jak zrobisz, napisz do nas. Inspiracje innych są bezcenne. Resztę można kupić płacąc kartą ...

### **Biblioterapia**

Beata Pawlikowska, W dżungli życia, Instytut Wydawniczy  
Latarnik

